

PRZECHODNIU, POWIEDZ SPARCIE, CZYLI KRES SAMORZĄDNEJ

Kampania wyborcza do październikowo-listopadowych wyborów do rad gmin, miast, powiatów i sejmików wojewódzkich jest pierwszym od 1990 roku tak dramatycznym sygnałem wieszczącym koniec Samorządnej Rzeczypospolitej. Spełnia się zapowiadany niemal od początku przez politologów scenariusz przejmowania samorządów przez władzę centralną.

Nie zgadza się tylko jedno. Przez lata samorządowcy bili na trwoję, każąc swoim wyborcom zbroić się, kopać szańce i gromadzić zapasy, by obronić się przed zakusami polityków z rządu i parlamentu – coraz bardziej łakomym okiem spoglądających na posady, pieniądze, uprawnienia ulokowane „w terenie”, w gminach i powiatach. A więc z punktu widzenia centrali – niezagospodarowane. Tak było niezmiennie raz na cztery lata przez ostatnie ćwierć wieku.

Kampania wyborcza w 2018 roku pokazała coś wręcz odwrotnego. Bardzo wielu działaczy samorządowych, i to nie tylko ze szczebla sejmików wojewódzkich – skąd zawsze było najbliżej do Warszawy – czy rad powiatów, ale i tych najniższych: gmin i miast, dobrowolnie wywiesiło białe flagi, godząc się na upolitycznienie samorządów na miarę wcześniej niespotykaną.

Czy ogłoszona w 1990 roku Samorządna Rzeczypospolita legnie w gruzach już po tych wyborach, dziś jeszcze trudno powiedzieć. Na pewno wyjdzie z nich mocno pogruchotana, bo po raz pierwszy musiała bronić się nie tylko przed wrogiem zewnętrznym, ale także ukrytym dotąd we własnych szeregach.

■ WIRUS SAMORZĄDNOŚCI

Wizja Samorządnej Rzeczypospolitej była jedną z najbardziej nośnych idei opozycji w ostatniej dekadzie Peerelu. W czasach, kiedy marzenie o upadku komunizmu i uwolnieniu się od narzuconego braterstwa z Wielkim Bratem ze Wschodu wydawało się jeszcze nierealizowalną mrzonką, to samorzady były pomysłem na upodmiotowienie społeczeństwa i wydarcie władzy „czerwonemu” poprzez decentralizację odpowiedzialności, a więc i kompetencji. Szansą na wyjęcie podstawowego szczebla administracji spod władztwa partii i oddanie go ludziom w miastach i gminach. Z nadzieją, że „wirus samorządności” zacznie się rozprzestrzeniać i wywoła chorobę systemu.

W Peerelu te idee wydawały się pomysłem dość naiwnym, mającym przede wszystkim drażnić komunistów, którzy na każdym kroku deklarowali „władzę ludu pracującego miast i wsi”. Ale w III RP idea Samorządnej Rzeczypospolitej stała się okrętem flagowym władzy. A reforma samorządowa rządu Jerzego Buzka z 1997 roku, przywracająca powiaty i wprowadzająca samorzady wojewódzkie, potwierdziła jej dobre intencje. Obywatele mieli odzyskać prawo własności do swoich miast i gmin, które odebrali im komuniści w imię sowieckiego założenia, że władza zawsze ma rację. W nowej Polsce miało być inaczej: tyle państwa, ile to konieczne (a więc wojsko, policja, pieniądze, polityka zagraniczna) i tyle wolności, ile to tylko możliwe (a więc cała reszta).

Ludzie wybierani do samorządów od 1990 roku potraktowali swoją misję poważnie. Radni rad miejskich i gminnych uwierzyli, że naprawdę mogą być w swoich małych ojczyznach prawdziwymi gospodarzami. I chcieli nimi być; przejmowali od państwa obowiązki, nie mając gwarancji ich finansowania i nie pytając o pieniądze. Bycie na swoim, jak mówiono wtedy w reklamach, było bezcenne. Ludzie, którzy

poczułi, że coś wreszcie od nich zależy, byli najlepszą gwarancją rozwoju samorządów. Nie było jeszcze wtedy mowy o europejskich funduszach, ale liczba inicjatyw opartych wyłącznie na pracy ludzi zaangażowanych w lokalne komitety była imponująca.

Ta wartość, którą wniosło do polskiej rzeczywistości owo samorządowe „bycie na swoim”, może zostać zaprzepaszczone. I to przy akceptacji dużej części samorządowców, którzy znowu uwierzyli, że „rząd wie lepiej, bo z góry widać więcej”. Jeśli tak się stanie, to samorządy będą kolejną ofiarą zmian, które rozpoczęły się w Polsce trzy lata temu.

■ OSTATNI BASTION CZY PIERWSZY PRZYCZÓŁEK?

Podczas kampanii wyborczej 2018 roku obserwowaliśmy walkę bezpardonową, w której każda ze stron starała się nie brać jeńców, ale pod jednym względem panowała między adwersarzami całkowita zgoda. Walka o samorządy weszła na poziom polityczny, przed którym wcześniej najbardziej ostrzegali sami samorządowcy.

Dla jednych (szeroko pojętej opozycji) samorządy stały się ostatnim bastionem wolności i demokracji, których po zmarginalizowaniu roli opozycji w parlamencie, przejęciu przez rządy „dobrej zmiany” publicznych mediów i skutecznym rozmontowaniu systemu sądowniczego, trzeba bronić przed zawłaszczającym wszystko PiS-em. Dla drugich (czyli obozu rządzącej zjednoczonej prawicy) zwycięstwo w tych wyborach to pierwszy etap rozpisanej na lata 2018–2020 i kolejne kampanie wyborcze – do samorządów, Parlamentu Europejskiego, sejmu i senatu, wreszcie prezydenckie – drogi wiodącej do zdobycia pełnej władzy. Być może nawet większości konstytucyjnej, która pozwoli skutecznie i na bardzo długo przebudować Rzeczpospolitą.

Bez opanowania samorządów nie uda się ani jednym, ani drugim. Dla opozycji zwycięstwo w wyborach samorządowych – nawet z bardzo prawdopodobnym wynikiem gorszym niż cztery lata temu, ale jednak zwycięstwo – pozwoli zachować wiarę w odwrócenie tendencji widocznych w elektoracie i nadzieję na powrót do władzy. Dla rządzących zwiększenie wpływów w samorządach po trzech latach sprawowania władzy w kraju – a praktyka pokazuje, że władza zużywa bardziej niż cokolwiek innego – będzie oczywistym sygnałem, że suweren ciągle jeszcze nie ma dość igrzysk i gotów jest przedłużyć Prawo i Sprawiedliwości mandat na kolejną kadencję.

Dlatego jedni i drudzy chcą/muszą te wybory wygrać. Jedni i drudzy mają też świadomość, że uda się to tylko pod jednym warunkiem. Nie wolno zostawić samorządu w rękach samorządowców. Rządzące Prawo i Sprawiedliwość (z przystawkami) świetnie wie, że bez samorządów nie będzie w stanie wiarygodnie ciągnąć swojej opowieści, że jest jedyną partią, która chce dobra Polski i Polaków. Niewiele już zostało do przejścia na szczeblu centralnym, żeby dopełnić układanki, konieczne są samorządy.

Opozycja od pewnego czasu wie to równie dobrze, a poza tym chyba zaczyna wreszcie rozumieć, że zmarnowała ostatnie trzy lata, nie wyciągając żadnych wniosków z klęski w wyborach parlamentarnych 2015 roku, i samorządy są jej Termopilami. Być może nie są wymarzone; miejscem do obrony Sparty przed nadciągającymi Persami, ale na pewno ostatnim, w którym można ich zatrzymać.

■ DOKOŃCZYĆ PRZEBUDOWY CZY ZATRZYMAĆ PIS

Dlatego w nadchodzących wyborach najmniej chodzi o samorządy – czego właśnie dowiodła trwająca kampania wyborcza. Może gdzieś na którymś krańcu Polski zetrą się programy, w których najważniejszy będzie rozwój miasteczka czy gminy, budowa chodnika, liczba miejsc w żłobkach, przeznaczenie pieniędzy z tzw. budżetu obywatelskiego, ale im jednostka samorządowa większa, tym mniej zostało złudzeń.

W przypadku sejmików wojewódzkich czy wyborów prezydentów dużych miast nikt nawet nie starał się udawać, że chodzi o politykę lokalną i problemy szczebla wojewódzkiego. Koalicje zawierali w świątlach fleszy liderzy partii. I raczej kiepsko próbowali ukryć, że chodzi o coś więcej niż władzę, unijne pieniądze i posady. Słuchając ich, trudno było mieć wątpliwości, że celem jest wyłącznie zwycięstwo Platformy Obywatelskiej lub Prawa i Sprawiedliwości. Używane argumenty były tymi samymi argumentami, które pojawiały się podczas wyborów parlamentarnych trzy lata temu.

Rządzący sprzedawali – i to bez specjalnego przepakowywania – opowieść o Polsce, w której nie budowano dróg, pieniądze były zawłaszczane przez elity i beneficjentów poprzedniej władzy, a priorytetem były interesy wyimaginowanych obcych. Dlatego Platforma będzie bronić do krwi ostatniej swego stanu posiadania, a jeśli nawet wszystko już zostanie im odebrane (czytaj: „naprawione po nich”), to i tak jej

politycy śnić będą o zawróceniu Polski z drogi przemian i odebraniu suwerenowi tego, „co mu się po prostu należy”. Dlatego trzeba dokończyć przebudowę Polski i stworzyć takie mechanizmy, które to uniemożliwią. Raz na zawsze. Temu właśnie służyło łączenie w jedną opowieść rzeczy nie mających z sobą nic wspólnego, na przykład ubezwłasnowolnienia Trybunału Konstytucyjnego z rzekomą potrzebą obrony programu 500+, który PO miałyby zlikwidować natychmiast po powrocie do władzy.

PiS nie był w tej narracji osamotniony. Platforma poszła do wyborów pod hasłem „Zatrzymać PiS”, na pierwszy plan wysuwając oskarżenia rządzących o winy i grzechy, które zarzuca im już od trzech lat: łamanie trójpodziału władzy, niszczenie europejskich standardów, zawłaszczanie Polski. Problemy samorządów mimo PR-owskich wysiłków zniknęły za tą podwójną fasadą.

■ SAMORZĄDY NIE POWINNY WARCZEĆ NA RZĄD

Nigdy wcześniej, w żadnej z poprzednich kampanii samorządowych, nie angażowali się w nie tak bardzo partyjni liderzy, ministrowie i premier, politycy o wymiarze zdecydowanie ponadlokalnym.

Podczas wrześniowej konwencji Prawa i Sprawiedliwości prezes PiS Jarosław Kaczyński przekonywał, że popieranie w wyborach samorządowych kandydatów ugrupowania, które aktualnie rządzi krajem, najzwyczajniej się opłaca. Dlatego trzeba zbudować takie samorządy, przekonywał prezes, które „nie będą warczyły na rząd i będą współpracować dla wspólnego dobra, by podnosić jakość życia Polaków”. Wtórował mu premier Mateusz Morawiecki, przedstawiając pięć punktów rządowego programu na wybory: Ciepły Dom, Dobra Okolica, Nowoczesna Gmina, Internet szybciej, więcej, Mieszkasz, decydujesz. Na początku brzmiało to jak propozycja protezy dla samorządowców, którzy nie potrafią zrobić tego, po co zostali wybrani, a potem okazało się zwykłą ofertą korupcyjną. Premier nie starał się nawet tego ukryć. „*To dodatkowe paliwo na wybory, by władze samorządowe jak najlepiej współpracowały z centralnymi*” – mówił podczas konwencji.

Do kampanii wyborczej zjednoczona prawica rzuciła wszystkie siły. Premier nie udawał, że zajmuje się w tym czasie problemami ogólnopolskimi. Zmienił się w komiwojażera podróżyjacego „PiS-busem” po Polsce od miasta do miasta z obietnicami inwestycji (budowy mostów, dróg, ściągania kapitału zagranicznego, który

ożywi rynek pracy), przy okazji sącząc znany z wyborów parlamentarnych przekaz o tym, że „oni”, „tamci”, czyli poprzednicy dobrej zmiany, nie zrobili nic, nie dotrzymali obietnic, zmarnowali szansę, którą mieli, a przede wszystkim zawiedli zaufanie ludzi. I zapewnijając, że „tam, gdzie można obywatelom poprawić los, nie ma żadnych barw politycznych”.

Premier osobiście pofatygował się na przykład do Kluczborka na Opolszczyźnie (a to przykład jeden z bardzo wielu), by tam na rynku odczytać z kartki deklarację poparcia dla kandydata PiS na stanowisko burmistrza i słowa potępienia dotychczasowych władz, które „ostatnich kilkanaście lat zmarnowały” i tylko zmiana administracji na pisowską uruchomi inwestycje, pozwoli dokończyć miejską obwodnicę i zadbać o ludzi. Raport władz Kluczborka pokazujący, że większość z tego, co premier zadeklarował albo już jest, albo niedługo zostanie ukończony, był przekonującym dowodem przekonanych. Mateusz Morawiecki był już w tym czasie w kolejnym województwie, gdzie w innym miasteczku wygłaszał podobnie brzmiące deklaracje. W Kluczborku pozostał rozlewający się w sieci konflikt między tymi, którzy widzieli zmiany na dobre, a tym, którzy poważnie potraktowali deklarację premiera, że gminy, które wybiorą „słusznie”, będą przez władze centralne traktowane lepiej.

Kandydaci do rad gmin, miast i powiatów, zwłaszcza obecni samorządowcy, którzy chcieli prowadzić swoje kampanie przeciwko osobom popieranym przez Prawo i Sprawiedliwość, musieli poważnie się zastanowić, czy to ma sens. Rozsądek podpowiadała, że nie. Skutki tak ostrej ingerencji rządu w kampanię samorządową mogą okazać się rujnujące dla małych środowisk i lokalnych społeczności.

■ OBRONIMY SAMORZĄDY PRZED SZKODNIKAMI

Także konwencja Koalicji Obywatelskiej (już w składzie z Inicjatywą Polską Barbary Nowackiej), która odbyła się dwa tygodnie później we Wrocławiu, mimo chwytliwego tytułu „Obronimy samorządy przed szkodnikami” nie skupiała się na samorządach, ale na znanej wylizczanie kolejnych grzechów PiS, popełnionych przez ostatnie trzy lata. Zagarnięcia Trybunału Konstytucyjnego, postępującej izolacji Polski w Unii Europejskiej i oczywiście znanego wszystkim pisowskiego folkloru. „Samorząd musi być wolny od Misiewiczów i zachcianek prezesa Kaczyńskiego. Nie wpuścimy ich, z tą ich wojną polsko-polską, do naszych lokalnych

społeczności, naszych małych ojczyzn” – przekonywał lider PO Grzegorz Schetyna.

Samorządowa w teorii konwencja poświęcona była „kłamstwom i propagandzie”, na których zbudował swoje rządy PiS. „Czy w Polsce rządzi prezydent i premier? Czy prezydent szanuje konstytucję? Czy Mateusz Morawiecki wprowadzał Polskę do Unii Europejskiej? Czy Jarosław Kaczyński był w „Solidarności” od czasów Wałęsy? Czy Platforma rzeczywiście nie budowała dróg i mostów?” – pytał Schetyna, a sala karnie za każdym razem odpowiadała: „Kłamstwo!”. Koalicja Obywatelska skoncentrowała się na konieczności obrony Polski przed Prawem i Sprawiedliwością, z lekkim i nieco wymuszonym akcentem na samorządy. „Po 2015 roku PiS zawłaszczył rząd, parlament, a potem również szkoły, sądy, prawa kobiet i demokrację. Ale dziś mówimy «dość», panie Kaczyński, samorządów nie zawłaszczycie! – wtórowała Schetynie Barbara Nowacka.

O tym, jak to zrobić, słychać było dużo mniej. Partie połączone w Koalicji Obywatelskiej nie mogły, jak Mateusz Morawiecki, obiecywać rządowych pieniędzy, bo zwyczajnie nie mają do nich dostępu. Mogły podważać argumenty PiS, zaprzeczać, że po powrocie do władzy zlikwidują „socjał”, z 500+ na czele. W walce, która toczyła się nie na argumenty ważne dla samorządów, PO i partie koalicyjne skazane były na przyjęcie narzuconych reguł. Musiały dawać do zrozumienia, że kiedy po odsunięciu PiS wrócą do władzy w Polsce, samorządy będą miały co najmniej tak samo dobrze. A właściwie to nawet lepiej, bo bez PiS-u.

■ PREZYDENCI, PREZYDENCI...

Bardzo dobrze było widać tę prawidłowość w kampaniach wyborczych na prezydentów dużych miast, które nie tylko w oczywistej Warszawie, ale niemal w każdym przypadku przypominały wybory na prezydenta Rzeczypospolitej. Ciężko, mimo wysiłków części mediów (np. Radia Tok FM organizującego w kolejnych ośrodkach debaty „Usłysz swoje miasto”), przebijają się problemy lokalne. Słyszane tym słabiej, im ważniejszego w polskiej polityce dotyczyło to miasta. Albo niesłyszane w ogóle, bo najważniejsi kandydaci (we Wrocławiu, Gdańsku czy Krakowie) odmawiali pod różnymi pretekstami udziału w przedwyborczych debatach.

W przypadku wyborów krakowskich do przestrzeni publicznej przebijają się nie smog czy problemy z komunikacją w mieście, a przy-

gotowania do rywalizacji Jacka Majchrowskiego i Małgorzaty Wassermann. Pierwszego, który rządzi miastem od czterech kadencji, wsparła mimo wcześniejszych dąsów Koalicja Obywatelska. Druga to wschodząca gwiazda Prawa i Sprawiedliwości, przewodnicząca komisji śledczej ds. Amber Gold, dająca PiS po raz pierwszy od wielu lat realne szanse na pokonanie Majchrowskiego. Kampania zbudowana na przeciwstawieniu tak wyrazistych kandydatów i programach sprowadzonych w istocie do walki PiS z anty-PiS była oczywiście dużo prostsza niż pochylenie się nad rzeczywistymi problemami Krakowa.

W Gdańsku, gdzie rządzący jeszcze dłużej niż Majchrowski Paweł Adamowicz nie dogadał się z Koalicją Obywatelską, doszła dodatkowo walka na nazwiska. Platforma wystawiła przeciwko Adamowiczowi syna legendy „Solidarności” – żeby nie było wątpliwości, myślę cały czas o Lechu Wałęsie – Jarosława, a Prawo i Sprawiedliwość Kacpra Płażyńskiego, syna Macieja, wojewody gdańskiego marszałka senatu, współzałożyciela PO, który zginął w katastrofie smoleńskiej. Nikt chyba nie przypuszczał, że obie partie dobierają kandydatów o historycznych nazwiskach, bo to najlepiej pozwala się skupić wyborcom na budowie żłobków i mieszkań komunalnych.

We Wrocławiu przez kilka miesięcy trwał kontredans kandydatów Platformy Obywatelskiej na urząd prezydenta. I długo żaden z nich nie był proponowany ze względu na zasługi dla samorządności. Gdy wysunięta jako pierwsza prof. Alicja Chybicka nie spełniła nadziei na spektakularny skok w sondażach, Grzegorz Schetyna zdecydował się na rozgrywkę pokerową, wysuwając kandydaturę Kazimierza Michała Ujazdowskiego, do niedawna prominentnego członka PiS. A gdy i ten polityczny wist okazał się mało perspektywiczny, Platforma dołączyła do koalicji popierającej Jacka Sutryka, czyli kandydata promowanego przez ustępującego prezydenta Wrocławia Rafała Dutkiewicza. Wydawało się, że to ruch zawracający Platformę przynajmniej we Wrocławiu z drogi nachalnego upolityczniania samorządu, gdyby nie fakt, że program dla Wrocławia niknął każdorazowo za wypowiedziami liderów partii, które utworzyły we Wrocławiu koalicję: PO, Nowoczesnej i... tak, SLD. Włodzimierz Czarzasty nie opuścił żadnej okazji, by pojawić się za plecami Sutryka i poświadczyć zawłaszczenie samorządu także we Wrocławiu przez politykę.

■ ZNAJDŹ 10 RÓŻNIC

Próba znalezienia – jak na obrazkach w pisemkach dla dzieci – dziesięciu różnic między kampanią do sejmiku i senatu z roku 2015 i tegoroczną samorządową nie udała się. Po prostu tych różnic nie było. Zarówno koalicja Zjednoczonej Prawicy, jak i Koalicja Obywatelska oceniły, że gra idzie o całą Polskę i samorządy ze swoimi problemami muszą zaczekać. A to, że być może w kolejnej kampanii nie będzie już czego z samorządów zbierać, to rzecz wtórna. Koszt.

Co tak naprawdę decyduje o tryumfie w wyborach lokalnych, najlepiej pokazywały ich wyniki. Niespodziewanie w tych regionach, czy nawet miejscowościach, gdzie w wyborach do sejmiku tryumfowało zwykle Prawo i Sprawiedliwość (ściana wschodnia) lub Platforma Obywatelska (Dolny Śląsk, całe Pomorze), prezydentem lub burmistrzem zostawał kandydat niekryjący poglądów mocno odbiegających od dominujących. I im niższego szczebla to dotyczyło, tym bardziej ta prawidłowość była widoczna. Na poziomie gminy czy miasta (poza Warszawą, tradycyjnie traktowaną prestiżowo i symbolicznie) mniejsze znaczenie miał sztyl partyjny czy polityczne sympatie kandydata. Dużo ważniejsza była umiejętność zarządzania niewielkimi pieniędzmi, jakimi zwykle samorządy lokalne dysponują, ale przede wszystkim najwyczejniejsza wiarygodność kandydatów. Liczyły się ich skuteczność, dotrzymywanie obietnic i przewidywalność. A do tego wszystkiego potrzebna jest niezależność samorządów, a „niezależność” to słowo, którego liderzy partyjni nie znoszą.

Przez ponad ćwierć wieku istnienia w III RP samorządy udowodniły, że są ważnym elementem ustroju państwa, czynnikiem bardziej stabilnym niż wstrząsana przez zmiany rządów władza centralna. Sondaże i badania socjologów pokazują od lat, że mieszkańcy gmin, małych miejscowości, powiatów utożsamiają się z lokalną władzą w dużo większym stopniu niż z kojarzonymi przede wszystkim z pyskówek na ekranach stacji telewizyjnych partyjnymi liderami. Wyborcy, narzekający na co dzień na lokalnych włodarzy, dostrzegający kosztowne samorządowych struktur, nepotyzm, budowanie lokalnych dworów wokół prezydentów i starostów, i tak ostatecznie oceniają władze lokalne zdecydowanie wyżej niż rząd, parlament, a nawet Kościół. To był zresztą od początku główny powód kolejnych zakusów partii politycznych na samorządy.

Partyjni funkcjonariusze nie brali pod uwagę, że na szacunek i sympatię ludzi samorządowcy musieli najpierw zapracować i gładkie słowa z ekranu telewizorów nie działają. To znaczy, dotąd nie działały.

W 2018 roku to się zmieniło, w podzielonej tak bardzo, jak to tylko możliwe Polsce, otrzymali wreszcie szansę, by samorządy przejąć. Częściowo za zgodą samych samorządowców.

■ NALEŻNY ŁUP

Politykom Koalicji Obywatelskiej i Zjednoczonej Prawicy – niezależnie od siebie, bo nie podejrzewam ich o aż taki makiażelizm i współpracę w tym zakresie – udało się stworzyć w wyborach przekonanie, że nie o władzę na szczeblu gmin, powiatów, niechby i województw chodziło, ale o Polskę. Przez trzy lata usilnie pracowali, by pozabawić wyborców pewności, że są w swoich małych ojczyznach ważni, bo i tak wszystko, co istotne, decydować się będzie w Warszawie.

W tym kontekście każdy wybór 21 października będzie wyborem niebezpiecznym. Bo bez gwarancji, co tak naprawdę wybieramy. Przebieg kampanii pozostawił bardzo niewielki margines na nadzieję, że uda się Samorządną Rzeczpospolitą ocalić.

Rządząca koalicja nie pozostawia raczej złudzeń, że nie zamierza tolerować samowoli samorządowców. Jeśli wygra wybory, uzna to za oczywisty sygnał, że wołą suwerena jest upartyjnienie nawet najmniejszych urzędów i rad najniższego szczebla. I może on być absolutnie pewien, że PiS z entuzjazmem ową wołę zrealizuje.

Problem w tym, iż kiedy była u władzy, obecna opozycja próbowała przez lata czynić to samo, ale krygując się, próbując zachować pozory, używając metod bardziej miękkich i rozkładając proces centralizacji samorządów na raty. Jeśli jednak uda się jej przekonać Polaków, że w imię obrony Rzeczypospolitej przed zachłannością PiS, zachowania demokracji i pozostania w Unii Europejskiej, powinni przekazać władzę w samorządach właśnie im, to nie będą już mieli powodu, by się samoorganizować. Potraktują samorządy jako należyty łup.

Wyborcy muszą zdecydować sami, co wybrać, stuprocentową pewność, że samorządy wydają właśnie ostatnie tchnienie, czy nadzieję na odłożenie wyroku w czasie. I wierzę, że da się jeszcze coś zmienić.

■ TU LEŻYMY WIERNI JEJ PRAWOM...

Oczywiście są i będą – im niższy szczebel, tym będzie ich więcej – i tacy samorządowcy, którzy w imię ideałów, którym będą chcieli pozostać wierni, niechęci do brudnej polityki i miłości do swoich miasteczek, gmin i powiatów, nie pójdą na żadne kompromisy i staną do wyborów samodzielnie, pod takimi samymi sztyldami, pod jakimi startowali cztery, osiem i dwanaście lat temu: Nasze Miasto, Bezpartyjni Obywatele, Komitet Mieszkańców, zwykle z nazwą miasta w tytule.

Niektórzy, nieliczni, nawet wygrają, zachowując jeszcze przez cztery lata złudzenie, że coś naprawdę od nich zależy. Większość przegra, bo wobec partyjnych machin będzie bezsilna i bezradna.

Na kamieniu, który zostanie położony na politycznej mogile ostatnich obrońców Samorządnej Rzeczypospolitej, można będzie wykuć taki sam napis, jaki znalazł się na pomniku wojowników Leonidasa, którzy w Termopilach próbowali zatrzymać Persów: *Przechodniu, powiedz Sparcie, że tu leżymy, wierni jej prawom.*

Mariusz Urbanek

